

**WITALIJ ILIASZOW**

**DELEGACJA DO MIASTA  
NA POŁUDNIU**



FIKCJE I FAKTY 1/1987

- Prawda, że ciekawi z nas ludzie, Olegu Wasiljewiczu? - zapytał reżyser, zwracając się do Chramowa.

Ten uśmiechnął się i nie odpowiedział. Ogarnęło go przyjemne uczucie zmęczenia, jakie zdarza się po długiej, męczącej podróży, kiedy można wreszcie gdzieś zatrzymać się i odetchnąć.

Przylecieli właśnie do miasta na Południu, ulokowali się w maleńkim hotelu i siedzieli teraz w pokoju kierownika produkcji Jefima Grigorjewicza, pili herbatę i rozmawiali o wszystkim i niczym.

- Wróćmy do ptaszków - przerwał w pewnej chwili Jefim Grigorjewicz i wszyscy spojrzeli na niego z uwagą. - Już jutro będziemy mogli filmować czaplę. Zarekomendowano nam pewnego człowieka, który zna tu każdy kątek. Natasza, jak on się nazywa?

- Kaczura - odpowiedziała Natasza.

Siedziała obok Chramowa i kiedy odwracała głowę, jej długie włosy omiatały jego policzki i usta. Chramow spojrzał na jej profil i pomyślał, że gdyby jej zdjęcie pokazać nieznanemu, to najprawdopodobniej nie zrobiłaby na nim szczególnego wrażenia: zbyt ostre rysy, nieco wystające kości policzkowe, wodniste oczy. Tylko obserwując ją właśnie tak - w całości, w kolorze, w ruchu - słysząc jej głęboki nieco gardłowy głos, widzi się jej cały wdzięk (czar).

Gdy Chramow zaczynał pracę konsultanta przy tym filmie, zwracał się do niej - Natalio Jegorowna.

- Niech mi pan mówi po prostu Natasza - prosiła.

Używanie formy z imieniem ojca z jakiegoś powodu jej nie odpowiadało. A Chramowowi przeciwnie, uważał, że ma w sobie coś staroświeckiego i uroczystego zarazem: „Natalio Jegorowna, czy mógłbym poprosić o Pani rękę?” Albo „Natalio Jegorowna, przyszedłem się z Panią pożegnać, wyjeżdżam na Kaukaz do służby czynnej”. Zaczął jej mówić po imieniu, a ona, jak dawniej, zwracała się do niego Olegu Wasiljewiczu. Niewątpliwie z szacunku - jest wprawdzie od niej tylko o 5 lat starszy, ale - jakkolwiek by było - uczony.

- Nie żałuje pan, że pojechał z nami? - zapytała Natasza.

- Nie - odpowiedział Chramow. - Obym tylko okazał się potrzebny.

- Tylko pan będzie potrzebny i operator. Reszta jest dla towarzystwa, mnie nie wyłączając.

Chramow spojrzał na nią z zainteresowaniem. Lubił ludzi, którzy mają do siebie stosunek ironiczny.

- Lubi pani swój zawód? - spytał.

- Tak - odpowiedziała Natasza. - Stale nowi ludzie, nowe miejsca.

- A jak rodzina reaguje na pani wyjazdy?

- Normalnie.

- Wie pani, pod pewnymi względami zazdroścę pani. Ja też lubię swoją pracę, ale zbyt wiele w niej rutyny. Dzień w dzień jedno i to samo. Dla mnie ten wyjazd to niemal święto.

- No cóż, drodzy goście - powiedział Jefim Grigorjewicz - czas się pożegnać. Jutro o dziewiątej spotykamy się w hallu.

Rankiem, kiedy zszedł na dół, Chramów zauważył wśród osób już sobie znanych, człowieka o szerokiej, czerwonej twarzy i rzadkich, ale kręconych włosach.

- Oto Paweł Iwanowicz Kaczura - przedstawił go Jefim Grigorjewicz. - Pokaże nam, gdzie żyją czaple i inne ptactwo.

Są ludzie, z których energia tryska, jak woda z fontanny. Paweł Iwanowicz należał właśnie do tego rzadkiego gatunku. Każde zdanie, które wypowiadał, brzmiało jak huk odrzutowego samolotu przy starcie. Mówiąc, bezustannie poruszał głowę, rękoma i, nawet gdy

milczał, na wszelkie sposoby demonstrował autentyczne zainteresowanie dla omawianych spraw.

- Czaplili tu zatrząsienie - stwierdził. - Jakie tylko chcecie - białe, szare, czarne. Jeszcze dziś będziecie robić zdjęcia. Trzeba tylko w jedno miejsce podskoczyć, żeby dogadać się w sprawie łódki. Niewielka sumka - i wszystko będzie w porządeczku.

Jefim Grigorjewicz odwołał Pawła Iwanowicza na stronę. Poszeptali kilka minut, po czym Kaczura natychmiast zniknął. Pół godziny później wszyscy, prócz kierownika produkcji, który pozostał, by organizować dalsze zdjęcia, wyjeżdżali za miasto niebieskim mikrobusem.

W obejściu, gdzie zaprowadził ich Kaczura, stał długi, drewniany stół, obok biegały kury, oznaczone zieloną farbą.

- Trzeba się co nieco wzmocnić przed pracą - powiedział Paweł Iwanowicz i zniknął, by po chwili wrócić niosąc ogromną butlę wypełnioną czerwonym płynem.

- Cienkusz - wyjaśnił - własnej roboty, z winogron. Za chwilę jeszcze rybki wam przyniosę. Wszystko jak trzeba, w porządeczku.

- Przecież mamy robić zdjęcia - zaprotestował reżyser. - Co to za praca po winie?

- Niech pan nie rozśmiesza mnie i kur - odrzekł z ironią Kaczura. - Przecież to cienkusz, całkiem jak kompot. Wszystko będzie w porządeczku.

Wkrótce na stole pojawił się duży emaliowany garnek wypełniony smażoną rybą. Obok Paweł Iwanowicz postawił tylko jedną szklankę i powiedział:

- Jefim Grigorjewicz mówił, że macie zamiar jechać stąd do Mołdawii, pod rumuńską granicę. Jest tam taki obyczaj, który nazywa się „solomor”. Poczęstuj was uchą albo rybą i dadzą jedną szklankę. Należy wygłosić toast, wypić do dna i przekazać szklankę sąsiadowi. Dzisiaj więc przeprowadzimy coś w rodzaju próby generalnej.

Wziął szklankę, chlupnął do niej czerwonego płynu i zaczął długą i uroczystą przemowę na temat gości, stolicy, słońca, zakończył życzeniami sukcesu.

Szklanka okrążyła wszystkich już po raz trzeci, słońce wspięło się do zenitu, a nie widać było końca tego „solomoru”.

- Czas - powiedział wreszcie małowówny operator i wszyscy z niechęcią oderwali się od stołu.

Łódka lekko, bez szarpnięć i kiwania popłynęła po rozlewisku. I gdyby nie warkot silnika, mogłoby się zdawać, że unosisz się we śnie. Woda przed łódką była gładka, bez jednej zmarszczki. Z lewej i prawej sterczało sitowie i zalane wodą drzewa.

Kaczura ciągle dolewał wina z ogromnej butli i usta nie zamykały mu się ani na chwilę.

Natasza zdjęła sukienkę i została w kwiecistym kostiumie kąpielowym. Leżąc na dziobie przypominała rzeźbioną figurę nimfy.

Przy jednej z piaszczystych wysepek Kaczura zatrzymał łódkę i operator wraz z asystentami wyszli na brzeg, wzięwszy ze sobą kamerę i statyw.

Chramow, obserwując te czynności z wyraźnym zdumieniem, otworzył wreszcie usta i powiedział:

- Zbyt jawnie.

- Nie rozumiem - odezwał się z rufy reżyser, lekko osłabiony przez słońce i wino.

- Mówię, Siergieju Lwowiczu, że czapla to niezwykle płochliwy ptak. Gdy spostrzeże w pobliżu jakiś nieznany przedmiot, nie podejździe do tego miejsca przez kilka dni.

- Nie ma sprawy - odparł Kaczura, uruchamiając sznurkiem silnik - Tu ich zatrząsienie. Są jak oswojone. Jazda!

Łódka drgnęła i popędziła dalej. Natasza uniosła się, okręciła wokół własnej osi i wystawiła twarz do słońca.

- Spieczę się pani, Natalio Jegorowna - rzekł Chramow patrząc na nią z zachwytem. - I całą noc będzie pani cierpieć.

- Nie - odparła beztrąsko, nie otwierając oczu. - Mnie się coś takiego nie zdarza. Mogę siedzieć na słońcu bez końca. Tylko bez słońca mi źle. Z natury jestem poganka, wierna kapłanka boga Jariły.

W godzinę później łódka zawróciła i popłynęła z powrotem. Ani ludzi, ani kamery na wysepce nie było widać.

- No i jak? - krzyknął Siergiej Lwowicz.

- Tu można tylko reumatyzmu dostać - powiedział wychodząc z sitowia operator. - Lecą na nas, a kiedy podlatują bliżej, zawracają. Widzą, że dwóch głupków z armatą stoi. Nawet od góry zasłanialiśmy się sitowiem - nic nie pomaga.

- No i co pan powie, Olegu Wasiljewiczu? - zapytał reżyser.

- To co mówiłem. Trzeba zbudować szalas i poczekać, aż ptaki się do niego przyzwyczają.

- A jak długo będą się przyzwyczajają?

- Trudno powiedzieć. Trzy-cztery dni. A może i tydzień.

- W ciągu tego tygodnia musimy skończyć te zdjęcia! - Dyrekcja rozlicza nas z nakręconych metrów taśmy.

- Wobec tego mogę dać wam jeszcze jedną radę: znaleźć gospodarstwo rybackie - musi gdzieś być - i robić zdjęcia tam. W takich miejscach czaple są mniej płochliwe.

- Posłuchaj „Solomor” - zwrócił się reżyser do Pawła Iwanowicza. - Jest tu gdzieś w pobliżu gospodarstwo rybackie?

- Zatręśnienie - odparł ten z pewnością siebie, nie podejrzewając nawet, że własnymi rękami niszczy szansę na tygodniowe nieróbstwo. - Stąd dwadzieścia parę kilometrów. Pełno tam stawów. Jesienią spuszczają z nich wodę, a ryby można wyciągać niemal koparką.

- Merci - powiedział Siergiej Lwowicz. - Dawaj z powrotem, zawracamy.

Kaczura wzruszył ramionami: nie ma rady, nie umieją ludzie docenić swego szczęścia. A łódka popędziła już do brzegu.

Tego dnia nigdzie już nie pojechali. Wszyscy rozleźli się po mieście, tylko Jefim Grigorjewicz i Natasza biegali od instytucji do instytucji, zdobywając potrzebne zezwolenia.

Kiedy zaczęło się ściemniać, Chramow wrócił do hotelu i w tej samej chwili z podjeżdżającej pod wejście taksówki wyskoczyli Jefim Grigorjewicz i Natasza.

- Fu - wypuściła powietrze Natasza, jakby właśnie w tej chwili wyciągnięto ją z głębokiej wody.

- Załatwiliście? - spytał Chramow.

- Załatwiliśmy - odparł kierownik. - Cały dzień przez tego kanciarza straciliśmy. Nie ulega wątpliwości - całe życie człowiek się uczy. Ale kto mógł przypuszczać, że tu na Południu mają takie obyczaje? Jutro o ósmej wyjeżdżamy.

- Olegu Wasiljewiczu, chodźmy nad morze - zaproponowała Natasza.

Skinął głową i Natasza pobiegła do pokoju po kostium.

Na plaży nie było niemal nikogo. Słońce schowało się już za wodę - podświetlało stamtąd pierzaste obłoki, które jakby celowo zgromadziły się nad horyzontem, żeby wykorzystać ostatnie, ciepłe jeszcze promienie. Chmury odbijały się w grzbietach drobnych fal, a wszystko wokół wyglądało pięknie i trochę smutno.

- Uwielbiam pływać wieczorem - oświadczyła Natasza - woda ciepła, jak w wannie, wychodzić się nie chce. I nocą też lubię, przy księżycu. Tylko okropnie się boję.

Szybko zdjęła sukienkę, skoczyła do wody i popłynęła żabką. Płynęła jakby niespiesznie, ale wkrótce minęła boję i płynęła dalej.

- He-ej, Natasza! - krzyknął Chramow - A może już czas na ojczysty brzeg?

- Już wracam - odezwała się swym niskim głosem i przepłynąwszy jeszcze około pięćdziesięciu metrów zawróciła.

- Doskonale pani pływa! - zachwycił się szczerze Chramow, gdy podeszła do niego. - A

ja przez tyle lat nie zdołałem się nauczyć.

- Całe dzieciństwo spędziłam nad morzem - powiedziała Natasza, łapiąc powietrze. - Można powiedzieć, od pieluch jestem z wodą zżyta.

Nacierала się ręcznikiem i udając, że jest przemarznięta szczerkała zębami.

- Co, a jednak zimno? - spytał Chramow, ponosząc się z kamienistej plaży.

- W wodzie cudownie. A tu wiaterek - chłodno.

Chramow podszedł do niej i zaczął energicznie rozcierać jej plecy ręcznikiem. Nagle odwróciła się do niego i Chramow nie zorientował się nawet, jak to się stało. Natasza odpowiedziała na pocałunek i przytuliła się doń swym wilgotnym, chłodnym ciałem. Ręcznik spadł z ramion na żwir plaży, a ona natychmiast schyliła się, żeby go podnieść. Chramow podszedł do wody i zaczął puszczać kaczki w szemrzące fale.

- Proszę potrzymać ręcznik, przebiorę się - poprosiła Natasza.

- O, tak jak torreador trzyma muletę. Wie pan, tak się nazywa ta czerwona szmatka?

Chramow nie wiedział.

- A przed kim mam panią zasłaniać? - zapytał.

- Przed panem. A może się jeszcze napatoczyć ktoś inny.

Roześmiał się i znowu ją pocałował.

- Zapomniałam już jak się to robi - stwierdziła Natasza.

- Czy to możliwe, żeby nikogo pani nie miała? Taka pani ładna.

- No to co?

- Nic - spieszył się Chramow.

Natasza przebrała się, wbiła się w nieco przyciasną sukienkę i poszli aleją, bez jednej latarni i tylko czerwone punkciki papierosów i brzdąkanie gitary świadczyły o tym, że gdzieś tam przed nimi jest ławka.

- Musimy już wracać - powiedziała Natasza - bo zaraz zaczną nas szukać.

Na pożegnanie uśmiechnęła się do niego kącikami ust i opuściła powieki. Był to gest współnika, więc w sercu Chramowa zrobiło się ciepło i radośnie.

Następny poranek wydawał się jasny i obiecujący. Zapewne w jeden z takich poranków ludzie średniowiecza nabrali przekonania, że niebo to wielka kryształowa kopuła.

W gospodarstwie rybnym czekali na nich i bez zwłoki otworzono żelazną bramę, za którą ciągnął się wąski pas nasypu. Ich autobus ledwie się na nim mieścił - patrząc przez okna mieli wrażenie, że płyną parowcem: z lewej i z prawej widać było tylko błękitną wodę stawów.

Kiedy operator i asystent przygotowywali kamerę, Chramow i Natasza poszli nasypem dalej i zeszli nad brzeg gęsto porośnięty szuwarami. Nagle w panicznym strachu uleciała stamtąd wystraszona kaczka i, hałaśliwie trzepocząc skrzydłami, odleciała.

Operator włożył już do kamery długi, czarny obiektyw i niecierpliwie rozglądał się na wszystkie strony. Ale i tu czaple bały się podchodzić blisko. Siergiej Lwowicz stał z boku, przygryzając wargi, i twarz jego była czerwona jak przed atakiem apopleksji.

- No i co, Olegu Wasiljewiczu - powiedział ze złością - tu jeszcze gorzej. Nie ma nawet gdzie się schować.

- Czy zauważył pan - rzucił Chramow - że czaple niemal nie reagują na pracujący w samochodzie silnik? Niech kierowca nie wyłącza stacyjki, i warkotu kamery nie będzie słychać. A do hałasu samochodu są przyzwyczajone.

- Nic z tego nie będzie! Kamery mamy takie, że uchowaj Boże - splunął operator. - Kiedyś w Hiszpanii filmowałem walkę byków i właśnie tym konwasem. Ledwo nacisnąłem guzik, byk odwraca się od swego torrero i słucha, co tam trzeszczy. O mało mnie nie pobili.

- No, dość tych anegdot - przerwał mu ostro reżyser - Bierzmy się do roboty.

W dwie godziny później wszyscy znowu zebrali się obok autobusu.

- No, jak? - spytał zaniepokojony Siergiej Lwowicz.

- Chyba nieźle - odparł operator, zdmuchując kurz z kasety. - Ale zbliżeń nie ma. Te paskudy strasznie się boją podejść bliżej. Chociaż i tak teraz podlatują nawet na trzydzieści metrów.

Po kilku spędzonych z ekipą dniach Chramow wiedział już, co to są zbliżenia.

- To nic, kiedy przyzwyczajają się, będą podlatywać jeszcze bliżej - powiedział.

- Wobec tego moglibyśmy póki co filmować żaby - zaproponował reżyser.

Żaby okazały się być utalentowanymi aktorkami. Chramow wytłumaczył, że reagują one wyłącznie na ruch, i asystent Wołodia, zmajstrowawszy naprędce wędkę i przyczepiwszy do nitki kawałek białego papieru, zaczął potrząsać nim w powietrzu tuż nad ziemią. Żaby, z początku ostrożnie, a potem coraz śmielej zaczęły wychodzić na brzeg i próbowały pochwycić trzepoczący się paperek, sądząc zapewne że to motyl.

- Prawda, że zabawne stworzenia? - zapytał Chramow. - A sporo jest ludzi, którzy ich, nie wiadomo dlaczego, nie lubią. Rozumiem jeszcze, że można nie lubić żmij albo pajaków - zdarzają się wśród nich jadowite. Choć to także przesąd. Z tego samego powodu, jak sądzę, ludzie stają się mizantropami czy antyfeministami. Spotkał kilka jadowitych osobniczek i uznał, że cały gatunek jest taki sam.

- A pan nie jest antyfeministą? - spytał Siergiej Lwowicz.

- Skąd to panu przyszło do głowy?

- Stąd, że zbliża się pan do trzydziestki i jeszcze nie jest pan żonaty. Wie pan, jest takie powiedzonko: gdy mając dwadzieścia lat nie masz rozumu - to już go mieć nie będziesz; gdy mając trzydzieści nie masz żony - to już się nie ożenisz; gdy mając lat czterdzieści nie masz pieniędzy - nie będziesz ich miał nigdy.

- A ja też nie lubię żab - powiedziała Natasza. - Są takie śliskie, zimne.

Siedzieli i leżeli na trójkątach pałatek, które zapobiegliwy operator zawsze zabierał ze sobą w delegacje i przyglądali się, jak filmuje zbliżenia żab.

Nikt nie zauważył, że niebo zaczęły zasnuwać ciężkie, ołowiane chmury. Pierwszy zaniepokoił się kierowca, mężczyzna około czterdziestki z rudawymi, opuszczonymi do dołu wąsami. Wszyscy wiedzieli, że ma dziś urodziny i że na ósmą musi wrócić do miasta.

- Zdamy - warknął reżyser.

- Nie o to chodzi - odpowiedział kierowca. - Może rozmyć drogę, tu są tylko ciężkie gleby.

Nie odjechali jeszcze stu metrów, gdy wielkie krople deszczu zaczęły walić po dachu, przylepiały się do okien i sprawiły, że górna warstwa drogi przypominała konsystencją masło. Autobusem zaczęło rzucać z boku na bok. Kierowca, który jak się okazało dopiero niedawno „przesiadł się” z samochodu dostawczego na autobus, nie czuł jego gabarytów i nie mógł sobie poradzić z prowadzeniem pojazdu. Autobus jechał bardzo powoli, pokonując z wysiłkiem opór deszczu i wiatru. Tylne koła ścigało raz w lewo, raz w prawo, i wreszcie definitywnie zasunęły się z nasypu. Silnik zawył wściekle i bezsilnie, ale autobus stanął i już nie ruszył z miejsca.

- Bez traktora nic się nie poradzi - stwierdził kierowca, wyłączył silnik i pobiegł nasypem.

Traktor przyjechał wkrótce i zatrzymał się nos w nos z autobusem. Traktorzysta, nie wyjmując z ust papierosa i wyrzucając z siebie bez chwili przerwy przekleństwa, szarpnął gracko dźwigniami, dzięki czemu traktor wyczyniał zawile piruety. Wreszcie wykręcił i podjechał tyłem przed przedni zderzak autobusu. Szofer zaczął hol, wlaźł do kabiny i autobus wolno, zrywami, znowu wydostał się na nasyp. Cała ekipa ponuro, jak za pogrzebem szła z tyłu. Ogromne cielsko autobusu wyglądało teraz na tym wąskim, rozmytym przez deszcz nasypie równie absurdalnie jak samolot ustawiony w parku.

Wkrótce tylne koło znowu ześlizgnęło się po skarpie. Traktorzysta jeszcze raz wyciągnął autobus na drogę, ale gdy historia powtórzyła się jeszcze dwa razy, wylazł z kabiny,

odczepił hol i zakławszy na pożegnanie, odjechał precz.

Zrobiło się całkiem ciemno. Miarowy, ciężki deszcz lał jak z cebra i nie miał zamiaru przestać. Wszyscy wsiedli do autobusu i w milczeniu rozsiedli się, gdzie kto mógł.

Jakże łatwo - myślał Chramow, obserwując krople zbierające z szyby matową parę - los może przenieść człowieka z jednego stanu w inny. Dopiero co leżeli sobie na ziemi, odczuwając radość i spokój, ciesząc się ciepłem słońca, błękitem stawów, i nikomu nie przyszło do głowy, że noc przyjdzie spędzić w wilgotnym, zimnym autobusie. Ale filmowcy - zuchy. Nie przejmują się, nie narzekają i nie szukają winnych. A to dlatego, że mają naturę koczowniców, a koczownicy są psychicznie odporniejsi, przyzwyczajają się do myśli, że życie to ciągłe zmiany i rozczarowania, i reagują na to spokojniej niż ludzie nawykli do stabilności.

Tylko Siergiej Lwowicz nie mógł usiedzieć na miejscu. Wyskoczył z autobusu, po pół godzinie zjawił się, przemoknięty do suchej nitki i oświadczył, że w drewnianym domku, obok którego przejeżdżali, jest trochę cieplej niż w autobusie, tylko nie ma tam na czym siedzieć. Ale nikomu nie chciało się wychodzić w deszcz i grzęznąć w błocie, więc po chwili znowu zniknął w ciemności.

Chramow przypomniał sobie nagle, że ma w torbie butelkę wytrawnego, markowego wina, którą chciał zabrać do domu, ale wczoraj w hotelu zapomniał ją wyjąć. Wyciągnął więc teraz i zaproponował, żeby choć w taki sposób uczcić dzień urodzin kierowcy. Wszyscy ożywili się, bo siedzieć beczynnie w ciemnym i zimnym autobusie było nudno, a zegarek pokazywał dopiero dziesiątą. Kierowca siedział ponury jak dotąd i nawet napić się nie chciał. Stopniowo jednak wesołość grupy udzieliła się i jemu, a kiedy po raz ostatni pili za jego zdrowie i za to, żeby dzisiejszy dzień był tym najbardziej nieudanym w jego życiu, już się uśmiechnął.

- No cóż, przenieśmy się może na tylne siedzenie - rzekł Chramow do Nataszy, gdy w autobusie znów zgasło światło - tam przynajmniej trochę wygodniej i nie kapie tak z okien.

Ściągnął z oparcia foteli kilka białych pokrowców, żeby nakryć się nimi i poszedł na koniec autobusu.

Natasza wyciągnęła się na całą długość siedzenia, oparła głowę na kolanach Chramowa i, wydawało się, że zasnęła. Oddychała równo i leżała niemal bez ruchu, ale po pewnym czasie powiedziała, unosząc się:

- Ależ zimno. Dla mnie nie ma nic gorszego, jak zimno.

- Proszę się do mnie przytulić, będzie pani cieplej - powiedział Chramow. - Wymiana ciepła zmniejszy się o połowę.

- Skoro pan taki uczony, trzeba będzie posłuchać rady - odparła Natasza. Objęła go i oparła głowę na jego ramieniu.

- Ciepłej - powiedziała - Wie pan, jak w dziecinnej zabawie - ciepłej, ciepłej.

- O Boże - szeptała - jak ci biedni Eskimosi mogą żyć. Nie mogłabym żyć bez słońca.

Chramow już zauważył, że Natasza bardzo często się powtarza, ale i to mu się podobało, tak jak podoba się powtarzający się ornament.

Natasza znów zasnęła. Kilkakrotnie wstrząsnął nią nagły dreszcz, pewnie coś jej się przyśniło. Potem zupełnie niespodziewanie obudziła się i ciepłymi, omdlałymi wargami przytuliła się do jego warg. Pachniała mlekiem i kwaśnym zapachem wina.

W autobusie panowała cisza - zmęczeni i przemarznięci, wszyscy spali przykrywszy się, czym popadło, a operator nawet z lekka pochrapywał. Gdzieś daleko przed autobusem błysnęło światło i zdawało się, że jest coraz większe, że świeci z każdą chwilą bliżej. Pewnie jakiś zapóźniony motocyklista.

- Ale jestem głodna! - zawołała nagle Natasza.

Chramow wstał, poszedł do przodu i pchnąwszy drzwi wyszedł na zewnątrz. Deszcz już się kończył, ale gwiazd na niebie nie było widać. Poszedł przed siebie, z trudem trzymając się drogi i czując, jak w pantofle wciska się coraz więcej błota. Były teraz tak ciężkie, jak buty

nurka. Wreszcie dotarł do krzewów; jeszcze w dzień zauważył tu winnicę. Urwał kilka winogron i sprawdzwszy, czy nie są zbyt kwaśne, zerwał całą kiść. Potem wymacał i zerwał jeszcze kilka i trzymając je w dłoniach powlókł się z powrotem, od czasu do czasu wykonując nogami takie ruchy jakby uderzał w piłkę futbolową, dzięki temu ziemia odpadała od butów.

Natasza zdumiała się i ucieszyła, kiedy wręczył jej winogrona.

- Ale mi z tobą dobrze! - wyszeptła. - Gdyby jeszcze było trochę cieplej, czułabym się jak w raju.

Zapadli w ciężki półsen, jaki przydarza się tylko na dworcach i w portach lotniczych wymęczonym pasażerom dla których nie znalazło się miejsce w hotelu. Obudzili się oboje jednocześnie - od przenikliwego zimna i od światła rzucanego przez czerwony dysk słońca.

Kierowca chodził po drodze i markotnie spoglądał na coraz bardziej błękitne niebo, rozmięknął drogę i swój, przekrzywiony na bok, autobus.

Podszedł reżyser, ponury, wymięty, z rozwichrzonymi włosami, z których sterczały kawałki słomy, i powiedział, nie witając się z nikim:

- Trzeba dojść do szosy i łapać okazję.

- Jaką znowu okazję? - odezwał się operator takim tonem, jakby proponowano mu wydobycie się stąd podziemnym podkopem - osobowe jada teraz nabite do granic możliwości. Kulaki pędzą na rynek. A ciężarówką sprzętu nie będę woził. Trzeba wyciągnąć autobus.

Chramow poparł operatora. Nie dlatego, że był w stanie jakoś ocenić niebezpieczeństwo zagrażające aparaturze filmowej, tylko żał mu się zrobiło kierowcy, który znalazł się w takiej sytuacji, a teraz będzie musiał sam, bez niczyjej pomocy wypłatywać się z niej. Wysiadł z autobusu za operatorem i poszli razem w stronę drewnianego domku. Operator nazywał się jak przedpotopowe zwierzę - Ratmir Nikandrowicz. Chramow próbował nawiązać z nim rozmowę, ale ten odpowiadał monosylabami i niechętnie. Odnosiło się wrażenie, że sam proces wymawiania słów sprawia mu przykrość, ponieważ mówiąc marszczył się, robił długie przerwy, a czasem nawet nie kończył rozpoczętego zdania.

Doczekali się wreszcie na przyjazd dyirekcji gospodarstwa i zaczęli prosić, błagać, molestować - głównie co prawda słycać było głos Chramowa, a operator kiwał głową i dorzucał od czasu do czasu słowo „aparatura” - aż zmusili dyrektora, żeby dał dwa traktory. Jeden jechał przed autobusem, drugi przytrzymywał go z tyłu, i tak powolutku dotarli na miejsce.

Kiedy znaleźli się już na szosie, nastrój od razu się poprawił, a wczorajsza przygoda komentowana była teraz jak zabawny przypadek.

O trzeciej po południu, kiedy ekipa już się wyspała, kierownik produkcji zwołał wszystkich na naradę.

- Zaprosiłem tu panów, żeby przekazać wam niezwykle nieprzyjemną wiadomość - zaczął tonem jak zawsze żartobliwym, ale bez cienia uśmiechu. - Katastrofalnie zawalamy plan zdjęć. A wasza nocna przygoda kosztowała nas kolejny dzień.

- Ależ to dzięki panu, Jefimie Grigorjewiczu! - przerwał mu reżyser - Nie trzeba było nas wysyłać takim autobusem, po drugie wypadałoby może od czasu do czasu pojechać na zdjęcia.

- Siergieju Lwowiczu, kochany - klasnął w rękę kierownik - któż mógł przypuścić, że proste zdjęcia w plenerze skończą się takimi arktycznymi przygodami?

- Dobra, mniejsza z tym, nie będziemy się tu kłócić! - powiedział reżyser.

- Tak więc, dowiedziałem się - wrócił do poprzedniego dobroduszenie-protekcjonalnego tonu kierownik - że niedaleko stąd jest gospodarstwo łowieckie. Natasza dogadała się już z myśliwymi, a ci są gotowi za niewielkie pieniądze dostarczyć nam odpowiednią czaplę.

- Zdechłą, czy jak? - zapytał reżyser.

- Dlaczego zaraz zdechłą? Mają tam woliery z ptakami i zwierzętami. Po prostu. Innego wyjścia nie widzę.

- Zgoda, pojedziemy zobaczyć, co to jest - zgodził się reżyser.



- Kiedyś filmowaliśmy z Iljinem węża - powiedział asystent operatora. - A ten za nic nie chciał połknąć żaby. Wtedy Iljin przeciągnął mu przez brzuch drut, przywiązał żabę za nóżkę i wciągnął wężowi w paszczę.

- Fu, cóż za ohyda! - marszcząc się z odrazą zawołała Natasza.

- Dostyc - powiedział Jefim Grigorjewicz - Jutro o ósmej wyruszamy.

Wieczorem Chramow i Natasza znowu poszli nad morze. Było już zupełnie ciemno, znajdujący się w ostatniej kwadrze księżyc wisiał nisko nad horyzontem. Natasza weszła do wody wprost na ścieżkę księżycowego światła i zanurzwszy się natychmiast popłynęła rozbijając księżycowe odbicie.

- Och, jak było strasznie! - powiedziała wychodząc z wody. - W dzieciństwie przestraszyli mnie chłopcy - któryś niespodziewanie podpłynął z dołu i jak nie szarpnie za nogę. Mało mi serce nie pękło. Od tego czasu boję się pływać nocami. Ale przewyciężam strach.

Usiadła obok Chramowa i oparła głowę na jego ramieniu.

- Jutro odlatuję - powiedział Chramow.

- Zostań jeszcze przynajmniej ze trzy dni.

- I tak powinienem lecieć dzisiaj, ale bilety były, chwała Bogu, dopiero na jutro.

- A kiedy my wrócimy? - Pojęcia nie mam.

- Natasza - powiedział Chramow i serce ścisnęło mu się, jakby wyciągał pytania na egzaminie. - Zakochałem się w tobie. Nigdy dotąd nie wiedziałem, co to takiego. Ciągle byłem czymś zajęty, siedziałem nad książkami, w laboratorium... Jesteś cudowna...

Położyła palec na jego ustach i powiedziała:

- Chodźmy, jutro trzeba wcześniej wstać.

Rankiem czekał na filmowców niewielki autobus, który z daleka przypominał jeża z wysuniętym nosem. Gdy ruszyli z miejsca, zatrzęsł się jak w febrze i wydawało się, że za chwilę się rozleci.

Jechał jednak szybko i już po półtorej godzinie znaleźli się przy zielonej, zbudowanej z rur, bramie gospodarstwa łowieckiego. Za bramą widać było długi parterowy dom oraz niewielką woliere, w której bezustannie miotały się dwa małe lisy.

- A gdzie nasza czapla? - zapytał reżyser, poprawiając koszulę na brzuchu.

- Za chwilę powinni nadjechać myśliwi - powiedziała Natasza, spojrzawszy na zegarek.

- No proszę, to chyba oni.

Pod bramę podjechał czarny motocykl z przyczepą i zeskoczyli z niego dwaj mężczyźni z karabinami, ubrani w brezentowe kurtki i wysokie kalosze. Jeden z nich wsunął rękę do przyczepy i wyciągnął stamtąd zawiniętą w szmatę czaplę.

- Przecież ona jest ranna - stwierdził reżyser, ze zdumieniem oglądając ślady krwi na piórach ptaka.

- To nic, one są żywotne. Jeszcze z pół godziny pociągnie - odparł myśliwy i wręczył ptaka reżyserowi. Ten wziął czaplę w obie ręce i krzyknął do operatora:

- Kamerę, prędko! Dawać ją tu, na tle gałęzi.

Operator, mruczając pod nosem, wyciągnął kamerę i przy pomocy asystenta zaczął ustawiać ją na statywie.

Reżyser wyciągnął chustkę do nosa, wytarł nią kropelki krwi z dzioba i piór, chwycił ptaka za skrzydła i podsunął od obiektywu.

- Tak, dobrze - powiedział, gdy operator zrobił zbliżenie. - Natasza, proszę wziąć chustkę i pomachać przed czaplą. Niżej, niżej, żeby to robiło wrażenie, że zjada żabę. Bardzo dobrze.

Chramow zszokowany patrzył na to co się dzieje, nie mogąc wydusić z siebie słowa.

- To wszystko, dziękuję - zwrócił się reżyser do myśliwych.

Ci zdążyli już przebrać się w codzienne ubrania i przyszli popatrzeć, jak idą zdjęcia. Jeden z myśliwych wziął czaplę za skrzydło, podszedł do woliery, gdzie jak oszalałe miotały

się w tę i z powrotem dwa lisy, i rzucił ją do środka.

Lisięta przestały biegać, wcisnęły się w kąt i nastroszone obserwowały ptaka. Do woliery zbliżyły się dzieci, chłopiec i dziewczynka, mniej więcej sześciolatnie i z zaciekawieniem obserwowały to, co się dzieje.

- No nie, tego już za wiele! - powiedział kierowca autobusu, młody chłopak, obgryzając ze zdenerwowania paznokcie. - Nie, więcej z wami nie jadę. Napatrzy się tu człowiek takich potworności, że...

Natasza pobiegła za myśliwym i coś zaczęła do niego mówić. Ten niechętnie wrócił przed woliere, spojrzął z zadumą na czaplę i powiedział:

- No, no, ale żywotna. Może jeszcze tym liskom oczy wydziobać.

Myśliwy włożył rękę do woliery, chwycił ptaka za skrzydło i wyciągnął na zewnątrz. Jedną ręką wziął go za szyję, a drugą złapał za głowę i przekręcił energicznie, jakby wkręcał korkociąg. Cisnął zwiotczałe ciało ptaka z powrotem do woliery i ruszył w stronę budynku, otrzepując puch z dłoni.

Wszyscy, poza Nataszą, opuścili podwórze i w milczeniu wsiedli do autobusu.

Po chwili podeszła także Natasza, chowając do torebki listę wynagrodzeń za pomoc w zdjęciach, usiadła obok Chramowa i autobus ruszył.

- Cały ten wasz gówniany film niewart jest tej nieszczęsnej czapli - powiedział operator, zwracając się nie wiadomo do kogo.

- A co mieliśmy robić? - rozłożył ręce reżyser. - Siedzieć tu jeszcze tydzień? Ta czapla kosztowała nas grosze, a na dodatkowy tydzień zdjęć wydalibyśmy setki rubli. I teraz podyskutujcie sobie o ekonomii i moralności.

- Oni tu codziennie prowadzą odstrzały czapli - poparła reżysera Natasza.

Operator odwrócił się do okna i nie odezwał się słowem.

- A ty, czemu tak na mnie patrzysz, jak na wroga ludu? - zapytała cicho Natasza, spojrzawszy z uśmiechem na Chramowa.

Wzruszył ramionami.

- Więc i tobie się nie podobam? Same anioły bez skrzydeł, tylko ja jestem krokodyl.

- Powiedz, wiedziałaś o tym?

- O czym?

- O tym, że czaplę odstrzelą.

- No, wiedziałam.

Autobus, klekocąc wszystkimi blachami, pędził mijając dalekie wzgórza.

- Wiedziałaś - powtórzyła Natasza. - I co z tego?

- Nic - odrzekł Chramow. Aż do hotelu jechali w milczeniu

Po godzinie Chramow wstąpił do Jefima Grigorjewicza po swój bilet. Kierownik produkcji stał przy stole i robił coś niepojętego - prasował elektrycznym żelazkiem jakieś zaświadczenie, kwity, bilet i starannie składał je na kupkę. Kiedy skończył, poszedł do łazienki, przyniósł stamtąd „Chipre” i, nabrawszy go w usta, spryskał przez zaciśnięte wargi wyprasowane dokumenty.

- Żeby nie pachniały lipą - wyjaśnił Jefim Grigorjewicz. - No, czemu pan taki ponury? - zapytał widząc, że jego żart nie wywołał uśmiechu Chramowa. - Przykro rozstawać się z nami? Nam także. Ale za miesiąc się zobaczymy.

- Jefimie Grigorjewiczu, przyszedłem powiedzieć panu, że nie będę już mógł z wami pracować. Chciałbym rozwiązać umowę. Pieniądze za bilety i pobyt zwrócę.

- Pan zwariował, Olegu Wasiljewiczu! Co się panu nagle stało? Z powodu tej nieszczęsnej czapli? Zdarza się, kochany. Nie człowieka przecież zabili. Nie mieliśmy po prostu innego wyjścia. Sam pan widział, co tu za ludzie. Obiecują jedno, a podsuwają coś zupełnie innego.

Chramow bez słowa położył na stole pieniądze wraz z egzemplarzem umowy i wyszedł.

Szybko pozbiierał swoje rzeczy i spojrzął na zegarek - zostało mu jeszcze czterdzieści minut. Położył się na łóżku i przymknął oczy.

Dwadzieścia minut później rozległo się stukanie do drzwi. Chramow zerwał się i powiedział nienaturalnym głosem:

- Proszę wejść.

Ale był to Jefim Grigorjewicz.

- No co pan, kochany, stawia nas pan w niezręcznej sytuacji. - zaczął. - Każdemu zdarza się popełnić błąd, proszę nam wielkodusznie wybaczyć, ale przysięgam, pana reakcja jest niewspółmierna do tego, co się stało... A może wcale nie idzie o czapkę, tylko o coś zupełnie innego? Niechże pan powie.

Chramow westchnął i odrzekł z niechęcią:

- Wie pan, ktoś kiedyś powiedział: idzie nie tyle o to, jakie popełniamy błędy, ile o to, jak się z nich wyplątujemy. Albo coś w tym rodzaju. No więc ja osobiście uważam, że brałem pieniądze za nic, skoro można, jak się okazuje, organizować zdjęcia w tak prosty i przystępny sposób. Myślę, że wy wszyscy doskonale możecie obejść się beze mnie. Życzę powodzenia!

Wziął walizkę i, nie słuchając odpowiedzi kierownika produkcji wyszedł z pokoju.

*Przełożył PIOTR HALBERS*